



Napisał: Andrzej Drzewiński

Ilustrował: Władysław P. Jabłoński

Przez opary snu dotarł do niego jakiś dźwięk, który z każdą chwilą wydawał się coraz gwałtowniejszy. Miał zamiar go zignorować i spać dalej, gdy nagle uświadomił sobie jego pochodzenie. Był to budzik. Otworzył oczy i mógł stwierdzić, że się nie omylił. Jasna tarcza szczyrzyła do niego wskazówki, pokazując godzinę siódmą. Musiał wstawać. Aby jak najszybciej wygonić resztki snu, energicznie odrzucił kołdrę i podbiegł do okna. Parkiet chłodził rozgrzane stopy. Na dworze na szczęście nie padało; powietrze było wilgotne

i pachniało lipą. Wychylił się dalej i dostrzegł dwa kundły szaleńczo biegające wokół kubłów na śmieci. Za nim w pokoju trzasnęły drzwi. Uniósł głowę, w dalszym ciągu przechylając się za parapet. Ujrzał twarz matki; miała dziwny wyraz.

– Co pan tu robi? – usłyszał.

Głos był na pozór stanowczy, ale znając matkę, wyczuł jej strach.

– Patrzę przez okno, proszę pani – odpowiedział, o ile możliwości beztróskim tonem.

– Proszę odpowiedzieć – krzyknęła histerycznie – bo zawołam policję!

Wyprostował się zdziwiony.

– O co ci chodzi, mamó? – zapytał i zrobił krok w jej stronę.

– Proszę się nie zbliżać! Nie jestem żadną pańską mamą! – krzyknęła znów. – Jeszcze raz się pytam, kim pan jest?!

– Mamó, zwariowałaś? – Teraz i w jego głosie dało się odczuć historię.

Ona znów podskoczyła, na dźwięk słowa „mamó” coraz bardziej czerwieniejąc na twarzy.

– A więc nie chce pan powiedzieć, co pan robi tutaj o siódmej rano, i to w piźniamie! – zawołała zatrząskując drzwiami.

Usłyszał odgłos przekręcanego klucza w zamku. Przez moment, na tyle długi, że zdążyły umilknąć jej kroki, stał niezdecydowany pośrodku pokoju, aby później gwałtownie skoczyć do drzwi. Uderzył w nie kilkakrotnie pięścią.

– Mamó, otwórz! – wołał. – O co ci chodzi?

Za drzwiami odpowiedziały mu jakieś dalekie szmery i nic więcej. Otarł z kułaka lakier, złuszczony ze drzwi, a później wolnym ruchem sięgnął do kieszeni. Miękkość materiału uprzytomniła mu fakt, że jest w piźniamie. Usiadł na łóżku, wziął ze stoliczka paczkę z papierosami i stukając palcami w denko, ustami wyjął jednego z nich. Właśnie miał potrzebę łypek zapalki, gdy usłyszał odgłos kroków na korytarzu. Odruchowo wstał. W uchylonych drzwiach ukazała się głowa Scotta; sąsiada z góry, dobrodusznego ojca rodziny. Robert mimochodem zauważył pod jego nosem resztki piany po goleniu. Matka najwyraźniej zastała go przy rannej toalecie.

– No... – zaczął groźnie Scott.

– Panie Scott – wszedł mu w słowa Robert – dobrze, że pan przyszedł. Nie wiem, co się dzieje z moją mamą. Wygląda, jakby mnie nie poznawała. Może pan jej...

– Zamknij się pan – przerwał mu Scott. – Skąd tu się wziąłeś? Tylko szybko, bo jestem nerwowo! Według mnie to zwykły złodziej, pani Holmitz – dodał zwracając się do matki Roberta.

Ten stał z wytrzeszczonymi oczyma i czuł, jak coraz bardziej robi mu się gorąco.

– Czyście powariowali? – wyszeptał. – Przecież ja mieszkam w tym domu od urodzenia, już 20 lat. A to jest moja mama, przecież wiem, do cholery, jak wygląda moja matka. Pan też mnie zna od urodzenia. Przestańcie robić głupie kawały, gdyż to wcale nie jest dowcipne – mówił gestykulując.

Tamci wyglądali, jakby patrzyli na groźnego, lecz oryginalnego wariata.

– Zresztą, co ja wygaduję. Rozejrzyjcie się po pokoju. Może to was otrzeźwi – tłumaczył nie dając za wygraną. – Czyje to są rzeczy, jak nie moje? Te książki, zdjęcia, koszule, skarpetki... – miotał się po pokoju wyciągając coraz to nowe przedmioty. – Więc powiedzcie mi, skąd to się tutaj wzięło, cha...

Umilkł, mając nadzieję, że usłyszy zaraz słowa: „Nie gniewaj się, synku, to tylko żart”. Niestety, usłyszał coś zupełnie przeciwnego.

– Nie wiem, skąd to się wzięło. Sądzę, że pan to przyniósł w nocy. Ten pokój był zawsze... – tu jakby na moment się zawahała, aby dokończyć – pusty.

Gdy to mówiła, jednocześnie wycofywała się za plecy Scotta.

– Niech pan tu zostanie i popilnuje tego człowieka – powiedziała mu. – Ja wezwę policję.

– Oczywiście, pani Holmitz – odpowiedział ów, pozersko opierając się o futrynę.

Gdy matka wyszła, skołowany Robert usiadł na krześle. Po głowie chodziła mu jedna myśl, jak uchroni matkę od zakładu dla psychicznie chorych, gdy przyjdzie tu policja.

– Ja panu radzę przestać udawać idiotę – przerwał jego rozmyślenia głos Scotta.

Robert rzucił mu niechętnie spojrzenie, lecz tamten, nie zrażony tym, ciągnął dalej.

– Panią Holmitz znam prawie dwadzieścia lat i mogę pana zapewnić, że nigdy nie miała ona syna. Jedyne dziecko, jakie miała, to córeczka, która jej zmarła niedługo po porodzie.

– Wiem – wtrącił Robert – miałem wtedy dziewięć lat. To była moja siostrzyczka.



– Panie – ciągnął dalej Scott – to nie ma sensu, że pan podaje się za jej syna. A poza tym, co ja tu będę z panem dyskutować.

Do przyjazdu policji siedzieli nie odzywając się do siebie; tylko Robert nerwowo palił papierosa za papierosem.

Obydwaj policjanci byli grubi, nadęci i mieli miny władców, jeśli nie świata, to przynajmniej tej dzielnicy. Jeden z nich pociągał nosem, jakby miał katar.

– To jest ten człowiek – powiedziała matka, która ich wprowadziła.

– Dokumenty – warknął wyższy, kładąc znacząco rękę na pasie.

Kiedy Robert mu je podawał, dodał:

– Proszę się ubierać. Pójdzie pan z nami.

Robert zignorował te słowa, pokazując palcem dane w dowodzie.

– Przykro mi, panowie, że musieliście się trudzić – mówił – ale tu jest wyraźnie napisane, że ja tu mieszkam i jestem synem tej pani.

Grubas jeszcze przez chwilę studiował dokumenty, naradzając się ze swoim kolegą.

Potem znów pociągając nosem, zwrócił się do pani Holmitz:

– Z dokumentów wynika, że ten człowiek rzeczywiście jest pani synem.

– Nonsens – odparła.

Scott również coś tam zabulgotał. Robert powoli odyskiwał zdolność myślenia. „Biedna mama” – przeszło mu przez głowę. Jednak musiał zacząć działać.

– Może panowie pójdą po dozorcę i spytają się o mnie. To powinno wyjaśnić tę niezręczną sytuację – dodał.

Policjant spojrzał niechętnie; widocznie nie lubił, gdy ktoś był mądrzejszy od niego, ale kiwnął głową na drugiego. Gdy czekali na jego powrót, Robert z wyrzutem popatrzył na matkę. Ta uniosła z dumą głowę i patrzyła w jakiś wybrany punkt na ścianie. Wtem Robertowi przyszło do głowy, że głupio stać w pidżamie wobec obcych ludzi. Poszedł za kotarę, gdzie leżało jego ubranie ułożone jeszcze przed snem. Właśnie zapinał pasek, gdy wszedł wysłany policjant. Na twarzy miał rozlany uśmiech satysfakcji.

– Dozorca przysięga na wszystko, że pani Holmitz zawsze mieszkała sama i nigdy nie słyszał, aby miała syna – wyrecytował.

Wyższy, słysząc to, znów pociągnął nosem.

– A więc fałszywe dokumenty – stwierdził – Proszę z nami.

Odsunął się ukazując drzwi. Robert chciał krzyknąć, zaprotestować, ale nie potrafił swych myśli złożyć w sensowne zdanie. Rozejrzał się jeszcze po pokoju, jakby obcym mu teraz, i wyszedł. Gdy schodził z policjantami, słyszał cichnący głos Scotta, który uspokajał jego matkę.

*

– Proszę tu podpisać – powiedział komisarz, kładąc mu przed nosem maszynopis protokołu zeznania. Robert starał się go przeczytać, ale piekielny ból głowy zlewał tekst w monotony deseni. Z rezygnacją napisał u dołu dwa słowa: imię i nazwisko, których za żadną cenę nie miał zamiaru się wyrzekać. Pióro drżało mu w palcach.

*

Sędzia śledczy właśnie kończył studiować ogłoszenia w porannej gazecie, gdy ktoś zapukał. Odłożył prasę i przybierając nobliwy wygląd zawołał:

– Proszę!

– Panie sędzio, ja w sprawie Roberta Holmitza – mówił komisarz, podchodząc do biurka, gdzie położył przed sędzią teczkę z aktami.

– Czy jest coś nowego? – spytał ów, zakładając cienkie okulary na wypracowanym rowku swego nosa.

– To jest niesamowita historia – relacjonował komisarz. – Łapiemy faceta w mieszkaniu zupełnie obcej mu osoby. Okazuje się, że nie wiadomo jakim cudem sprowadził on tam swoje meble i rzeczy, sugerujące, iż jest synem właścicielki mieszkania. Na domiar tego ma idealnie podrobione dokumenty i uwaga... – komisarz zawiesił głos – we wszystkich urzędach, gdzie powinien być zarejestrowany, on rzeczywiście figuruje. Muszę zaznaczyć, że również u nas był notowany za rozrabianie w czasie demonstracji studenckiej. Zarówno personalia, jak i linie papilarne zgadzają się.

Nie mam pojęcia, kto i w jaki sposób, podłożył te dokumenty. Gdyby nie to, że on nie potrafi wskazać chociażby jednej osoby, która by go знаła, gotów byłbym uwierzyć, że jest Robertem Holmitzem. To jest jakaś niesamowita mistyfikacja, moim zdaniem.

– Czy nikt nie potwierdził jego tożsamości? – wtrącił sędzia, przewracając kartki sprawozdań.

– Absolutnie nikt. Nawet dziewczyna, o której opowiadał, że jest jego narzeczoną, zaprzeczyła temu, że go zna – mówiąc to zniżył głos do szeptu. – Nie ma pan pojęcia, co się wtedy działo. On ją zaklinał, a ona czerwieniała i płacząc uciekła. Ten zaś dostał szału i rozbił o ścianę krzesło, tak że lekarz musiał mu aplikować coś na uspokojenie. Teraz siedzi spokojnie w areszcie.

Gdy komisarz umilkł, sędzia chrząknął i, rysując długopisem jakieś bohomyzy na okładce teczek od akt, zaczął:

– Wydaje mi się, że to jest poważna sprawa – rzekł przeciągając samogłoski. – Jakaś grubsza afera, kto wie, może szpiegowska. Trzeba będzie zawiadomić Wydział Spraw Wewnętrznych. Sądzę, że zainteresują ich te podłożone dokumenty.

Komisarz z szacunkiem przytaknął.

*

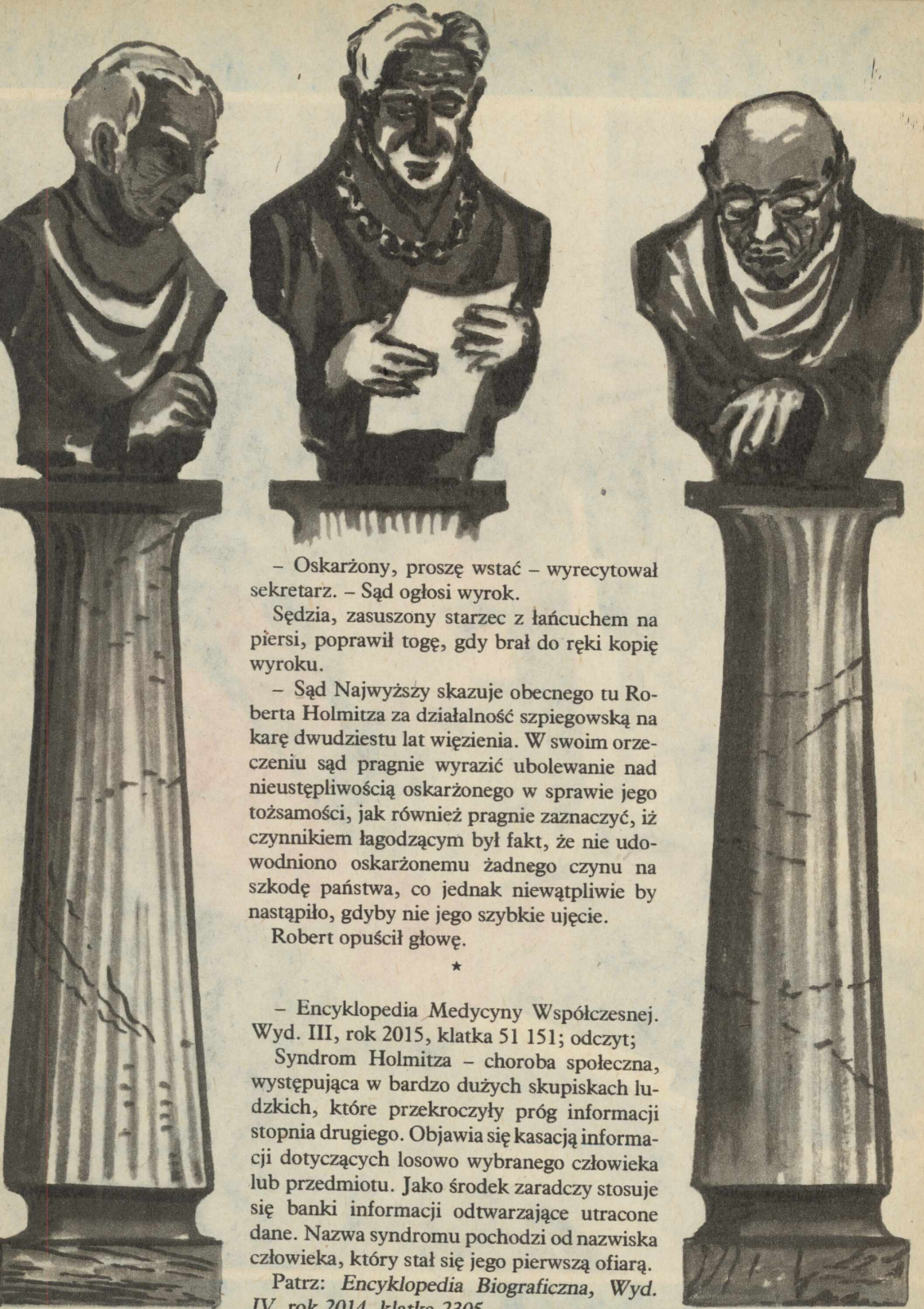
Major
Martin Kole
Wydział Spraw Wewnętrznych

Raport

Niżej podpisany kapitan medycyny sądowej stwierdza, że przeprowadził na osobniku podającym się za Roberta Holmitza test prawdy, a także próbę Hala i Berdiewa. Wynik wszystkich trzech był ujemny, co wskazuje na bezcelowość dalszych przestuchań metodami klasycznymi. Osobiście muszę zaznaczyć, że jest to bezprecedensowy wypadek w medycynie, aby u jednej osoby wskaźnik reakcji na każdy z ww. testów był poniżej 0,1%; innymi słowy – ów osobnik jest całkowicie przekonany o swojej fikcyjnej tożsamości. Uważam, że podobny efekt mogło wywołać „pranie mózgu” połączone z dużym stresem psychicznym, którego nawet trans hipnotyczny (patrz: próba Holza, zał. 1/3) nie był w stanie usunąć. Zaznaczam, że nasze laboratoria nie są w stanie uzyskać podobnego efektu.

Podpisano:

Kapitan medycyny sądowej
Bernard Pintor



– Oskarżony, proszę wstać – wyrecytował sekretarz. – Sąd ogłosi wyrok.

Sędzia, zasuszony starzec z łańcuchem na piersi, poprawił tożę, gdy brał do ręki kopię wyroku.

– Sąd Najwyższy skazuje obecnego tu Roberta Holmitza za działalność szpiegowską na karę dwudziestu lat więzienia. W swoim orzeczeniu sąd pragnie wyrazić ubolewanie nad nieustępliwością oskarżonego w sprawie jego tożsamości, jak również pragnie zaznaczyć, iż czynnikiem łagodzącym był fakt, że nie udowodniono oskarżonemu żadnego czynu na szkodę państwa, co jednak niewątpliwie by nastąpiło, gdyby nie jego szybkie ujęcie.

Robert opuścił głowę.

★

– Encyklopedia Medycyny Współczesnej. Wyd. III, rok 2015, klatka 51 151; odczyt;

Syndrom Holmitza – choroba społeczna, występująca w bardzo dużych skupiskach ludzkich, które przekroczyły próg informacji stopnia drugiego. Objawia się kasacją informacji dotyczących losowo wybranego człowieka lub przedmiotu. Jako środek zaradczy stosuje się banki informacji odtwarzające utracone dane. Nazwa syndromu pochodzi od nazwiska człowieka, który stał się jego pierwszą ofiarą.

Patrz: Encyklopedia Biograficzna, Wyd. IV, rok 2014, klatka 2305.